

NIEPOWSZEDNI

TO DZIECI OBDARZONE SZCZEGÓLNYMI
DARAMI. RODZĄ SIĘ BARDZO RZADKO,
WIĘC STANOWIĄ CENNY ŁUP
DLA HANDLARZY LUDŹMI.

Po niespodziewanych perypetiach na dworze kniazia dzielni młodzi ludzie dochodzą do przekonania, że aby uniknąć kolejnego ataku ze strony Welesa, herszta bandy Okrutnych Złotników, muszą podjąć ryzyko i przejąć inicjatywę.

Pełni obaw i jak najgorszych wspomnień, Niepowszedni wyruszają w podróż do Łajdackiego Krańca. Rozumieją, że dla nich to jedyna możliwość, by na zawsze uwolnić się od prześladowcy.

Wokół panuje surowa zima, przyjaciele niemal zamarzają w trakcie podróży przez step. W wysokich górach narażeni są na lawiny i spotkanie ze śnieżną panterą...

Czy i tym razem Nili oraz jej towarzyszom uda się pokonać czyhające zewsząd niebezpieczeństwa, czy ich przyjaźń przetrwa kolejne próby?

POPZEDNIE TOMY TRYLOGII:



MBP Cieszanów
Obława /



M000010874

Jaguar

lubimy czytać

JUSTYNA
DRZEWICKA

NIEPOWSZEDNI

OBLAWA

Jaguar

JUSTYNA DRZEWICKA

NIEPOWSZEDNI

OBLAWA

księga III



Mała knara z czerwonym żaglem płynęła ku „Siewcy”, by zabrać do portu Niepowszednich oraz ich dwóch towarzyszy. Stateczek walczył z porywistym wiatrem i wysokimi falami.

Nila naciągnęła głębiej kaptur, bo zimno przeszywało do szpiku kości.

– Długo jeszcze?

Nie przestała bać się Łajdackiego Krańca, ale skoro zejścia na ląd nie dało się uniknąć, wołała uczynić to jak najszybciej. Pogoda wyraźnie się psuła. Wichura przybierała na sile, statek chybotał się na wszystkie strony i jakby tego było mało, nad wodę ścigał szwadron szarych chmur, które nie wróżyły niczego dobrego. Podróż knarą, znacznie lżejszą od „Siewcy”, zapowiadała się na przeprawę po prostu niebezpieczną.

Alla przysunęła się do siostry.

– Żyjesz?

– Ledwie.

– Widzę. Błada jesteś.

Nila jak nikt nie nadawała się do rejsów. Mimo że wypróbowała wszystkie specjały z torby medykusa, choroba morska pastwiła się nad nią codziennie. Dziewczyna chciała poczuć wreszcie pod nogami nieruchomy grunt.

Alla raz jeszcze spojrzała na sine niebo i czerwony żagielek. Przegrywał w wyścigu z chmurami.

– Kiepsko to wygląda, co?

– Okropnie.

Wodniczka, połową ciała wychylona poza burzę, parsknęła śmiechem.

– E, tam! Jest cudnie!

Tylko ona wyglądała z utęsknieniem każdego podskoku na falach. Łapała w dłonie słone krople i chichotała przy każdym mocniejszym przechyle. Nili robiło się niedobrze od samego parzenia na te wygibasy.

– Dalko, ile jeszcze? – powtórzyła.

– Trochę poczekamy. Na moje oko wcześniej niż za dwa kwadranse nie przybiją. Wytrzymasz?

Na pewno nie. Lada moment będzie wymiotować. Jęknęła.

Flawia ponownie się zaśmiała.

– Boisz się?! – wrzasnęła znad fal. – Tego podwodnego cmentarzyska? To tylko zatopione miasto, żadna kłątwa!

Nila nie przejmowała się tym, co kryło się w wodach zatoeki. Podobnie jak kataklizmem, który przed wiekami zepchnął całą miejscinę w odmęty szybciej, niż piekarz zsuwa gorący bochen z łopaty. To Pan Wnętrza Ziemi przypomniawszy sobie maluczkim wstrząsami, po których grunt nagle się zapadł, a z głębi morza nadciągnęła wysoka woda, grzebiąc wszystko w promieniu kilku mil. Legenda paskudna, ale Nila prawie gotowa była w tę historię uwierzyć. Żaden inny bóg nie pasował do Łajdackiego Krańca bardziej niż ów porywczy i mściwy awanturnik.

Właśnie zbierała się, by odpowiedzieć Flawii, ile znaczy kłątwa w porównaniu z chorobą morską, gdy statkiem znów rzucało na boki.

– Ależ kiwa! – Wodniczka rozdarła się na całe gardło. – O, matulu! Jeszcze! Jeszcze!

Tego było już za wiele. Żołądek Nili wywinął kozła i podjechał aż pod gardło.

– Błę... Z drogi!... Błę...

Ledwie zdążyła do burty. Wychyliła się, wypływając żółć wraz z resztkami śniadania. Opadła na dek, blada i umęczona. Skierowała wzrok ku nieruchomemu horyzontowi. Jego widok częściowo uspokajał zmaltretowany zmysł równowagi.

– W nosie mam podwodne miasto – jęknęła w stronę Flawii.
– Boję się, że na tej knarze wypłuje wnętrzności.

Dalko pogłaskał ją po włosach.

– Biedulka. Wytrzymaj jeszcze trochę. Chmury chyba lekko znosi. Będzie parszywie, ale może ominie nas najgorsze.

– Naprawdę? – ożywiła się.

– Jak to?! – jednocześnie zdziwiła się Flawia. – A mnie obiecałeś...

Dalko zaczął chrząkać, jakby dopadł go co najmniej krztusiec. Nawet niezbyt domyślny rozmówca domyśliłby się tajnego kodu. Na próżno. Wodniczka ogłuchła na wszystko poza szumem morza.

– ...sztorm!

I wszystko jasne. Nila tylko jęknęła, a Żrenicznik zrobił zboląłą minę rodzica, któremu niesforny dwulatek znów wlaź w szkodę.

– Szlag, mała! Ja staram się uspokoić dziewczynę, a ty gędzisz bez sensu! Zwariować można. Rozum chyba postradałaś na tym morzu.

Machinalnie poprawił siostrze kaptur. Nigdy go nie naciągała, ponoć zasłaniał widok, gdy wychylała się za burte.

– Zostaw! Wolę tak! – Znów zaświeciła rudą czupryną i jeszcze niżej zawisła nad falami.

Teraz już rozsierdziła go naprawdę.

– Rozchorujesz się! – ryknął. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś ubierała się ciepło? Noś czapkę! A rękawice gdzie? Znowu utopione? I przestań się tak wychylać! Czyś ty pajak?!

Mała zbyła tę tyradę pokazaniem języka.

– Trzymam się przecież liny, nie? I wcale nie zmarzłam, daj mi spokój!

– Jeszcze czego! Nos masz czerwony, łapska...

– Idę na dziób, tam lepiej widać.

Zakręciła się na pięcie i tyle ją widzieli.

Alla natychmiast machnęła palcami, a Kadok pognął za dziewczką. Wiedział, co robić. Ilekroć w pobliżu Flawii nie było nikogo, do niego należała opieka nad Wodniczką. Trzymał ją zębiskami za suknię i nie pozwalał zsunąć się w toń.

Dalko opuścił głowę z bezradnym westchnieniem.

– Słowo daję, pójdę żywcem do nieba.

– Woda tak na nią działa. Odetchniesz, gdy zejdziemy na ląd – pocieszył go Sambor. – Już niedługo.

– Albo i długo. – Alla sięgnęła za pas, gdzie nosiła krótki, lekki miecz.

Po wizycie Welesa w Ferretum zapowiedziała, że nie zamierza dłużej być bezbronną panną, skazaną na pomoc Kadoka i przyjaciół. Nie przepuszczała więc żadnej okazji, by poćwiczyć z Samborem.

– Knara jeszcze daleko. Zdamy zatańczyć. Uważaj! – Machnęła Unikowi ostrzem przed nosem.

Odepchnął je bez wysiłku, ale uśmiechnął się z uznaniem.

– Dużo lepiej. Postaraj się bardziej przekrzywić nadgarstek. Chodź, pokażę ci.

– Dacie radę fechtować przy takiej pogodzie? – zdumiała się Nila. – Ledwie stoimy na nogach.

– O to przecież chodzi. Im trudniej, tym cenniejsza nauka. Idziemy.

Nila zerknęła tęsknie w kierunku czerwonego żagla.

– Gapienie się w niczym nie pomoże – upomniał ją Dalko. – Musimy poczekać. Popatrzmy, jak się tłuką.

Ponieważ nic lepszego do roboty nie mieli, rozsiedli się za forkasztem i obserwowali zmagania smukłej dziewczyny z potężnie zbudowanym chłopakiem.

Przyjemnie się na nich patrzyło. Oboje zdjęli zimowe peleryny, za cieplejsze okrycie mając tylko kubraki na baranim futrze. Alla w ulubionej czarnej sukni, z niebieską wstążką wplecioną w warkocz. Choć dostąpiła zaszczytów na dworze, wciąż nosiła się skromnie, uciekając od świecidełek. Z biżuterii miała tylko amulet od Batu Taurisa i stare kolczyki z jantarami.

Sambor z włosami podgolonymi na bokach, był w ciemnych spodniach i smolistej jopuli, którą Nila szyla mu przez całą jesień. Efekt jej wysiłków daleki był od doskonałości, gdyż Żniwarze nie znajdowali przyjemności w tego rodzaju dłubaniu. Szwy, które dziewczyna zakładała chorem, zawsze biegły idealnie, tymczasem wykrojony z czterech kawałków materii kubrak za nic nie chciał ułożyć się równo. Sambor zachwycił się jednak tym podarunkiem i obnosił się w nim po „Siewcy”, jakby miał na sobie mistrzowsko skrojony adamaszek, a nie krzywo pozszywaną wełnę. Trzeba przyznać, że nawet koślawy kaftan nie odbierał Unikowi wdzięku.

Nila aż westchnęła, rozmarzona.

– Pięknie mu w tym, co? – szepnęła do Dalko.

Uniósł kpiąco brwi.

– Alla umie szyć lepiej czy może to u was rodzinne?

– Głupek! – odgryzła się ze śmiechem. – A moja siostra w życiu nie trzymała igły w dłoni. Woli miecz, jak widać.

Przekrzywił głowę, podziwiając płynne ruchy Bestiarki.

– Pasuje jej.

– Ładnemu we wszystkim ładnie.

Mówiła niby o Alli, lecz na myśli miała Sambora.

Po tygodniach intensywnych treningów z wojownikami tajnych oddziałów jego uroda stała się wręcz porażająca. Rysy nabrały twardości, w oczach pojawiła się spokojna pewność siebie, a ciało przypominało doskonałą rzeźbę – grube sploty mięśni rysowały się nawet pod warstwami ubrań.

– Dawaj! Szybciej! Dobrze! – wrzaski i głośny brzęk stali o stal wyrwały Nilę z błogostanu.

Alla, zaróżowiona z wysiłku, na zmianę to doskakiwała, to uchylała się przed mieczem Unika. Nie spuszczała wzroku z jego prawej ręki, gotowa zaatakować, gdy ten odsłoni się choć trochę. Sama trzymała broń w lewej dłoni, taka się urodziła. Sambor przyjął to z zadowoleniem, twierdząc, że łatwiej będzie jej zmylić przeciwników.

– Już! – ponaglił. – Nie pozwól mi myśleć! Wall!

Natarła, prowadząc oręż lekko po skosie, jakby chciała odciąć mu głowę. W ostatniej chwili zmieniła ułożenie nadgarstka i ostrze śmignęło wzdłuż brzucha chłopaka.

Zaśmiał się, zadowolony.

– Dobrze! Wredna jesteś! Dalej!

– Allu! – ryknął z daleka Sulmir. – Szybciej cofaj nogę przy przejściu!

Choć nigdy nie brał udziału w tych naukach, szanując samorodny talent Unika, nie przestawał śledzić postępów dziewczyny. Od czasu do czasu wtrącał się, a Sambor za każdym razem przyznawał mu rację.

– Faktycznie – orzekł i teraz. – Dzięki, Sulmir! Spróbujmy od nowa. Dawaj!

Nila przyglądała się siostrze zafascynowana, bo wyglądało na to, że Bestiarze naprawdę mają talent do walki, o ile dostaną odpowiednią broń.

Alla taką znalazła, choć długo szukała miecza, który dobrze leżałby w jej drobnej dłoni i nie obciążał nadmiernie ramienia. Przetrząśnięcie zbrojowni kniazia niczego nie dało, bo zgromadzony tam oręż służyć miał mężczyznom. Był duży, ciężki i nieporęczny. Niepowodzeniem skończyły się też wizyty na targu w Ferretek, gdzie mieczowników, płatnerzy, a nawet zwykłych kowali parających się wyrobem broni było bez liku, ale żaden nie miał niczego na miarę Bestiarki.

Ostatecznie z pomocą dziewczynie przyszedł Anton, który w swoim arsenale z czasów przemytu miał kilka niezwyklej okazów przechowywanych jako ciekawostki lub kosztowne unikaty z zamorskich krain. Wśród nich odnalazł krótki jednosieczny miecz o rękojeści oplecionej jedwabnym sznurem i łagodnie wygiętej głowni ze wzmacnianą krawędzią. Broń była bardzo stara, lecz wykonana ze stali tak twardej, że nie dało się na niej dostrzec żadnych śladów użytkowania. Podobno wytwarzano ją gdzieś na końcu świata z czarnej rudy wypłukiwanej z wnętrza gór lodową wodą strumieni.

Bukowy, choć świadomy horrendalnej ceny, za jaką mógłby sprzedać owo cudo, oddał je Alli bez zastanowienia, z ciepłym uśmiechem, jakby wręczał bukiet kwiatów, a nie równowartość niewielkiego gospodarstwa. Ona zaś pokochała ten miecz od pierwszej chwili.

Nila oczywiście nie miała nic przeciwko pobieraniu przez siostrę nauki fechtunku. No, może poza jednym... Unik zaczął naukę od podstaw, ponieważ nie mógł darować dziewczynie lekcji kroków, zejść po skosie, trawersów z obrotem, wydłużania i skracania dystansu. Szybko przyszła jednak pora na trening

uderzeń i trafiania w miejsca, których groteskowe nazwy wryły się Nili na zawsze w pamięć, bo Sambor wykrzykiwał je bez przerwy. Nie dało się tego słuchać.

Jakby na złość znów zaczął swoje:

– Lewy pług! Dobrze! Prawy wół! Szybciej! Do licha, prawy wół, mówię! Ruszaj się!

Alla jęknęła z wysiłkiem, ale pchnęła ostrze w okolicę jego serca.

– Dobrze – ocenił. – Co teraz? Myśl!

– Prawy pług? – sapnęła.

– Tak, ale chroń głowę, bo zobacz, co ci... – Nie dokończył, po prostu uderzył ją płazem w skroń.

– Aaaa! – Wściekła się i natychmiast natarła.

– Zuch – stęknął. – Szybko! Prawy wół! Cholera, już!

Dalko wywrócił oczyma.

– Ten wół i pług zaczynają mi się śnić. I raczej są to koszmary.

– Pojmujesz coś z tego?

– Na „wół” uderzasz od pasa w górę, na „pług” w dół. No co? – zarechotał, rozbawiony jej spojrzeniem. – Sambor próbował mnie uczyć, ale nic z tego nie wyszło. Żrenicznik plus miecz... szlag... jakoś do siebie nie pasujemy. Wolę inną broń. Taką, w której używam oczu. Lubię procę, a teraz jeszcze mój łuk.

On też od kilku miesięcy miał nową zabawkę. Jako pożegnalny prezent dostał od Bukowego przepiękne jesionowe łączysko wygięte na podobieństwo morskiej fali, z cięciwą z końskiego włosa.

– Na dworze nie widzieli łucznika lepszego od ciebie. Trafiasz, w co chcesz – Nila powtórzyła zasłyszane na zamku plotki.

– Też mi wyczyn. Jeszcze by tego brakowało, żeby Żrenicznik pudłował. Pochwalę się tym rodzicom, jeśli będę miał ochotę z nimi gadać, a oni ze mną.

A już było tak miło – skonstatowała cierpko, bo wyraźnie do głosu dochodziła gburowata część jego natury.

Mimo wszystko postanowiła powalczyć.

– Nie złość się. Wiem, że masz z nas najciężej, ale my też nie rwiemy się do tej wyprawy.

Bez słowa wskazał Sambora z wrzaskiem wywijającego mieczem. Wyglądał na takiego, który akurat dobrze się bawi.

Nila wzruszyła ramionami.

– Sam mówiłeś, że każdy Unik to dureń – przypomniała Dalko pierwszą awanturę z jego najlepszym przyjacielem.

Udało się! Uśmiechnął się pod nosem.

– Ano. Trochę zmądrzał od tego czasu, co?

– Mhm... Psiakrew, ależ ziąb!

Poruszyła palcami w butach. Marzły mimo wełnianych pończoch i solidnych trzewików. Zimowy morski wiatr przenikał przez najgrubsze warstwy ubrań.

– Może pogadaj z nim? – zaproponowała łagodnie. – Wiesz, o n i c h.

Wszystko zepsuła. Dalko sam wybierał czas oraz osobę, której chciał się zwierzyć. Wstał i z ponurym wyrazem twarzy położył w stronę sztormtrapu.

– Szykujcie się – rzucił na odchodnym. – Prawie tu są.

Rzeczywiście, knara była już całkiem blisko „Siewcy”. Marynarze książęcego statku rozpoczęli przygotowania do przekazania pasażerów. Rozwinęli sznurową drabinkę, szykowali wielki sak, w którym zamierzali spuścić Kadoka, i zrzucali na jeden stos tobołki podróżników.

Alla z Samborem skończyli ćwiczenia, a potem zniknęli pod pokładem, by zabrać resztę swoich kłopotów. Nila, Flawia oraz Dalko mieli to za sobą. Herman z Sulmirem też szykowali się do zejścia ze statku. Zgarnęli torby i ruszyli ku Niepowszednim.

W samą porę, bo za burtą rozbrzmiewały już niecierpliwe okrzyki. Knara wreszcie ustawiła się należycie przy „Siewcy”, a jej załoga z wielkim wysiłkiem próbowała utrzymać tę pozycję. Fatalnie im szło. Nawet osiem par silnych rąk nie potrafiło unieruchomić stateczku na dłużej. Fale podrzucały nim z taką łatwością, jakby był łupinką orzecha.

– Do roboty! – zarządził kapitan. – Żwawo!

Najpierw spuszczoneo spętane liną bagaże. Potem przysła pora na klatkę z magnetykami i Kadoka. Lis, chociaż przestraszony podróżą w saku, ani drgnął, hipnotyzowany ruchem palców Bestiarki. Kiedy jednak dotknął łapami deku, otrząsnął się i uniósł łeb w oczekiwaniu na swoją panią.

Niepowszedni, ponaglani niecierpliwymi wrzaskami marynarzy, stłoczyli się przy drabinie. Alla z Flawią zeszły jako pierwsze. Dalko trochę zmitrężył, bo w chwili, gdy stanął na ostatnim szczebelku sztormtrapu, wiatr odepchnął knarę o pół sążnia i trzeba było poczekać, aż załoga znów ustawi ją jak trzeba.

Nila przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

– Teraz ty, śliczna – odezwał się tuż za jej plecami Sulmir.

– Niech idzie Herman.

Nie mogła oderwać wzroku od topieli szalejącej kilka sążni niżej. Miała nad nią zawisnąć, a wrodzony lęk wysokości już podnosił larum w głowie.

Rządca przerzucił nogi nad burtą. Zaklął, gdy kolejne uderzenie wiatru zatrzęsło „Siewcę”, ale ruszył w dół bez wahania. Oddany księciu chyba nawet w takiej chwili nie pozwalał sobie na rozterki. Szedł z zaciśniętymi zębami.

Nila tymczasem policzyła wszystkie stopnie sztormtrapu. Dwadzieścia pięć związanych poprzecznie sznurków. Niemrawe podszepty strachu zmieniły się teraz w dziki wrzask.

– Chyba nie dam rady.

Rządca znieruchomiał na ostatnim stopniu.

– Jak to?! Jaśniepan...

– W nosie mam jaśniepana!

W owym momencie dbała o powinność względem kniazia tyle co o zeszłoroczny śnieg.

Sambor wystawił głowę za burtę, oceniając wysokość.

– Uspokój się, będzie dobrze. Zejdę pierwszy i złapię cię na dole. To tylko kilka małych kroczków.

– Dwadzieścia pięć. Wszystko może się zdarzyć.

– Nic ci się nie stanie.

– Jeśli spadnę, knara mnie zmiażdży.

– Stoi nieruchomo jak kamień.

W tej samej chwili maleńki stateczek wyrzwał z łomotem w burtę „Siewcy”. Nila ostentacyjnie odsunęła się o kilka kroków. Sambor zaczął w desperacji pleść coś o cichnym wietrze i spokojniejszych falach, ale dziecka by na to nie nabrał, a co dopiero rozhisteryzowaną dziewczynę.

– Stary, szkoda gadania. Złaż – wtrącił się Sulmir. – Ona też zaraz pójdzie.

Cisnął na deski swój wór z mieczami i nie bawiąc się w tłumaczenia, jedną ręką przyciągnął Nilę do siebie, a drugą podniósł zwój liny, która niewiele wcześniej zabezpieczała bagaż Niepowszednich. Dwukrotnie oplótł sznur wokół dziewczęcej talii. Był przy tym tak rozluźniony, jakby wybierał się na zimowy spacer. Najwyraźniej oblodzone stopnie sztormtrapu nie robiły na nim wrażenia.

– Lęk wysokości, śliczna? – domyślił się. – Nie martw się, pomogę ci. Wiąż!

Posłusznie zamotała solidny węzeł na jego nadgarstku.

– Nie puścisz mnie? – zapytała.

Uśmiechnął się, potrząsając głową. Dziesiątki blond warkoczyków zatańczyły na wietrze.

– W życiu! Po to tu jestem, nie? Żeby was chronić.

Nila podziękowała w myślach kniaziovi za to, że przysłał im tego jasnowłosego narwańca. Naprawdę wierzyła, że z jego pomocą przetrwają w Łajdackim Krańcu. Sprawiał wrażenie takiego, który wie, co robi. Przełożyła stopy nad burtą.

– Idź. – Poklepał ją po plecach.

Trochę ślamazarnie, ale ruszyła. Sulmir luzował linę tak, żeby nie krępować ruchów dziewczyny, ale jednocześnie pozostawić sznur napięty na tyle, by nie musiała się zastanawiać, czy wciąż jest bezpieczna.

W połowie drogi Nila zdobyła się na odwagę i zerknęła w dół. Sambor już czekał.

– Pospiesz się! – krzyknął. – Fale są większe!

Czuła to i bez jego ostrzeżenia. Knara odskakiwała od „Siewcy” na większą odległość i z silniejszym impetem wracała. Przebywanie na drabince zwiastowało kłopoty. Kiedy więc dotarła do ostatniego stopnia, zamknęła oczy i skoczyła, Unik zaś złapał ją w powietrzu, tak jak obiecał. Natychmiast odwiązał linę, jednocześnie rycząc w stronę Sulmira:

– Bezpieczna! Teraz ty! Dawaj sak z mieczami!

Wojownik pokręcił głową. Złapał się jedną dłonią sztormtrapu, a drugą ścisnął torbę z bronią. Zaczął schodzić.

– Spadniesz! – przestraszył się Sambor. – Rzuć mi broń!

– Dam radę!

Stapał bez pośpiechu, płynnie przesuwając palce po linie i wyglądało na to, że istotnie świetnie sobie poradzi. Niestety, rychło to się zmieniło. Wichura zaatakowała z czterech stron, uderzając w statki wysokimi grzywaczami i chmurami lepkiego śniegu. Sznurowe stopnie w mgnieniu oka zrobiły się śliskie jak lód.

– Szlag! Patrzcie! – wrzasnął Dalko.

Potężna fala wypiętrzyła się gdzieś w połowie zatoki i gnała przed siebie. Wprost na nich!

– Sulmir, trzymaj się! – rozdarł się Herman. – Trzymaj!

Uderzenie było tak silne, że knara wystrzeliła ponad wodę. „Siewca” zadarł dziób, sztormtrap zaś odskoczył od kadłuba. Sulmira odrzuciło na dobre pół sążnia. Przez moment zdawało się, że utrzyma się na drabince, ale tak się nie stało. Puścił linę i odpadł. Zniknął w topieli. Tylko zdążył wypłynąć, już przykryła go kolejna fala.

Kto żyw rzucił się na pomoc. Cisnęli do morza wiosło uwiązane do liny. Czasu nie było wiele, bo każda sekunda w lodowatej kipieli odbierała siły.

– Walcz! Walcz! – krzyczeli.

A Sulmir robił, co mógł. Zachłystywał się wodą, znikał pod falami, na nowo wystawiał głowę, aż wreszcie – cudem – dotarł do drzewca. Ledwie żywy ze zmęczenia dał znak, żeby wybierali linę. Dociągnęli go do burty siniego, szczękającego zębami. Wyciągnął zaciśnięte chłodem dłonie w stronę marynarzy.

– Nie... nie mogę...

Złapali biedaka za rękawy.

– Szybciej! – gorączkował się Dalko. – Szlag, szybciej! Fala!

Spóźnili się o kilka sekund. Olbrzymi grzywacz pchnął stateczek na kadłub „Siewcy”. Drewno uderzyło o drewno. Ryk Sulmira przebił się przez wycie wiatru. Potem krzyk ucichł. Wojownik leżał bezwładnie na falach. Wywlekli go na pokład nieprzytomnego, ze spodniami zbaczonymi krwią.

– Żyje – sapnął blady z wysiłku marynarz. – Ale łydka...

Nila przypadła do rannego. Nie popatrzyła na jego twarz. Wiedziała, co zobaczy: sine usta, bladą skórę, oczy zamroczone cier-

pieniem. Nie miała na to czasu. Musiała zająć się nogą. Dek już spływał krwią.

Najpierw szamotała się z butem, potem nie była w stanie zerwać nogawki. Mokra materia przylgnęła do ciała i dopiero nóż Sambora poradził sobie z twardą wełną. Chłopak rozciął ją aż po udo, ostrożnie rozchylił poły.

– O, cholera! – przeraził się.

Poniżej kolana, pomiędzy fałdami poszarpanych mięśni błyszczała złamana kość.